



Kilka ziaren pszenicy

Urodziłem się 25.06.1923 we wsi Makowisko (ok. 9 km od Jarosławia) jako drugie dziecko spośród ośmiorga dzieci moich rodziców. Byli oni bardzo pobożnymi katolikami. Szczególnie gorliwy był ojciec. Do dziś pamiętam wieczorne modlitwy odmawiane na kolanach przez całą rodzinę, którym towarzyszyło bicie czołem o ziemię. Mojemu ojcu nie wystarczyło jednak to, co ksiądz przeczytał z Biblii w kościele, miał swoje Pismo Święte, które bardzo często czytał i chociaż był prostym człowiekiem, ciężko pracującym kowalem, wiele z niego rozumiał.

W tym czasie przyjechali w nasze okolice bracia z wesołą nowiną. W sercach kilkunastu rodzin zakiełkowała Prawda i w ten sposób powstał zbór, który liczył ok. 30-35 osób. Wielu nieżyjących braci pamiętam do dziś, m.in.: Stefana i Michała Kornaków, Wojciecha Kuca. Wieść o innowiercach bardzo szybko rozeszła się po okolicy.

Około roku 1937 przyjechał do zboru brat Gładysek. Podśledzałem, jak jeden z miejscowych braci przyszedł do ojca do kuźni, powiadomić go o mającym się odbyć wieczornym zebraniu. Kiedy wieczorem ojciec szykował się do wyjścia, postanowiłem, że też tam pójdę. Nikomu nic nie mówiąc, wymknąłem się z domu i opłotkami (nie drogą) pobiegłem do domu br. Jana Stepańczaka. Usiadłem w kącie i pilnie słuchałem, co mówi brat Gładysek. Dziś już nie pamiętam, o czym mówił, ale doskonale pamiętam, co stało się w moim sercu.

Na drugi dzień, w niedzielę rano, szedłem już na zebranie główną drogą. Towarzyszyły mi drwiny i obelgi kolegów, którzy obrzucali mnie wyzwiskami. Ja już wtedy byłem innym człowiekiem i nic nie mogło mnie zawrócić „z drogi, w którą wyruszyłem”.

Wkrótce przyjechali do nas bracia Mikołaj Grudzień i August Stahn. Nikomu o tym nie mówiłem, ale ja już wówczas poświęciłem się w sercu na służbę Panu. Zbliżała się Pamiątka śmierci naszego Pana, bardzo pragnąłem ją obchodzić, lecz bracia odradzali mi, tłumacząc, że nie jestem ochrzczony. Pamiętam, że uczestnicząc w tym uroczystym nabożeństwie bardzo płakałem, bałem się, że za rok może być już za późno.

Przyszedł rok 1939, a z nim wojna, najpierw okupacja niemiecka, później sowiecka i znowu niemiecka. Po przerwie spowodowanej zakazem zgromadzania się bracia zaczęli znów spotykać się na zebraniach m.in. u brata Kuca w Zapałowie. W 1940 roku zorganizowano większe zebranie u brata Bachora, niedaleko Oleszyc. Tam

kilka osób, wśród nich i ja, zgłosiło się do chrztu. Niektórzy bracia namawiali mnie, bym jeszcze się wstrzymał ze względu na ciężkie i niepewne czasy wojenne. Ja jednak oświadczyłem, że od mojej decyzji nie ma odwrotu – była przecież wojna, a ja chciałem być przede wszystkim żołnierzem Chrystusowym, choć miałem dopiero 17 lat.

I tak Pan pomógł mi, że spełniło się pragnienie mojego serca – zostałem ochrzczony przez brata Wojciecha Kuca w rzece Lubaczówka.

W roku 1943 zabrano mnie do Przemyśla, do przymusowej, bardzo ciężkiej pracy. Każdego ranka był apel z obowiązkową modlitwą i żegnaniem się. Któregoś dnia, jeden z Niemców zauważył, że ja się nie żegnam i pobił mnie dotkliwie. O całym zajściu dowiedział się oficer wyższej rangi, który pomógł mi wydostać się z niewoli.

Wróciłem do domu, pracowałem w lesie i pomagałem ojcu w kuźni. Nie trwało to jednak długo. W sierpniu 1944 roku wojska niemieckie wycofały się, a do wsi wkroczyli Rosjanie. Wszystkich młodych, także mnie, mojego brata i brata Stefana Kornaka przymusowo wcielono do wojska sowieckiego i wysłano na front.

W styczniu 1945 roku rozpoczęła się wielka ofensywa na zachód. Przeżyłem wiele podążając wraz z frontem poza Odrę. Tam też po ciężkiej walce rozbito naszą jednostkę, a ja dostałem się do niemieckiej niewoli. Front przesunął się na zachód, nas – niewolników – pędzono przed nim, aż któregoś dnia załadowano nas w towarowe wagony i zawieziono do obozu w Łambinowicach. Zdrowych, młodych jeńców zatrudniono przy kopaniu okopów.

Zbliżała się wiosna. Któregoś dnia, kopiąc okopy, zauważyłem na sąsiednim polu gospodarza siejącego zboże. Poprosiłem wartownika, by pozwolił mi iść do miejsca, gdzie stał wóz, aby zebrać kilka ziaren pszenicy. Wieczorem, w obozowym baraku, na prowizorycznym młynku skruszyłem ziarna i zrobiłem placek wielkości monety. Był kwiecień, pełnia księżyca, miałem chleb i wodę, która zastąpiła mi wino. Modląc się, obchodziłem Wieczerzę Pańską – moje największe święto. Czułem, że nie byłem sam – ze mną był Pan.

Brat w Panu Piotr Gowda

WE 2/2009

Gowda Piotr